Przyjaciel Ludu.

Rok drugi. **No. 49.** Leszno, dnia 4. Czerwca 1836.



Karól Lipiński.

Jeżeli co przyczynić się może do uprzyjemnienia, a razem i uszlachetnienia życia naszego, to bezwątpienia sztuki piękne. Nie dla zabawy naszéj tylko, nie dla skrócenia czasu wzniosłe te niebios córy zesłane zostały na ziemię! Kształcić serce, napełniać umysł zamiłowaniem tego, co jest piękne i dobre, rzucać kwiaty na ciernistą drogę życia, cieszyć w smutku, unosić nas w tajemniczą krainę ideału, dawać nam już na ziemi niebieskiéj kosztować słodyczy; oto ich przeznaczenie, szczególniéj poezyi i muzyki, które, jak jeden z największych poetów Angielskich mowi, jedynie tylko jeszcze przechowują ślad raju na ziemi. *)

Lecz, jakże mało jest, zwłaszcza między artystami muzycznymi takich, którzy się całą pięknością i wzniosłością sztuki przejęli. Iluż to z nich przez hołdowanie zepsutemu smakowi i modzie, przez ubieganie się za oklaskami tłumu i przez szarlataneryą i t. d. stają się niegodnymi swego talentu! O nich äni słowa! szczególnie dziś, gdy mamy mówić o jednym z tych rzadkich mężów, którzy całą wzniosłość sztuki poznawszy, sztukę dla niéj saméj miłują, a tylko o zdanie znawców dbając, nie ubiegają się zwy-

*) That's left of Eden upon earth.
Th. Moore. Loves of the Angels.

czajem modnych artystów za złotem; lecz co droższe nad nie, co trudniejsze do nabycia, za szacunkiem i prawdziwą sławą.

Karól Lipiński urodził się roku 1790 w Radzyniu. W 5ym roku, od ojca będącego w ówczas nauczycielem muzyki w domu Potockich, a dziś cieszącego się jeszcze czerstwem zdrowiem, początki gry na skrzypcach odbierać zaczął; postępy jego były znaczne: już w 7mym roku mniejsze kompozycye z pierwszego wejrzenia wykonać był w stanie. Ojciec Lipińskiego był miernym i teoretycznie mało wykształconym artystą; nic więc dziwnego, iż uczeń wkrótce nauczyciela prześcignął, a gdy ani okoliczności domowe, niepozwalały oddać go do którego z sławnych zagranicznych mistrzów, czego też sobie młody Lipiński nie życzył, tym sposobem w zawodzie muzykalnym sam sobie był zostawiony. Prawdziwy jednak geniusz, skoro tylko naprowadzony na dobrą drogę, kilka kroków na niéj postąpił, już z niéj nie zbłądzi, jeżeli tylko zawsze wrodzonego głosu, przemawiającego głośno z głębi serca jego, słuchać będzie; a tak, niekiedy prędzéj dojdzie do celu, niż ten, co długo od sławnego mistrza był kształcony. Równie, jak dla poety, mówi Jean Paul, nic nie jest szkodliwszém nad częste czytanie dzieł jakiego wielkiego poety, tak i dla artysty z talentem, mistrz wielki często może być szkodliwym; albowiem prawie zawsze uczeń przejmuje się metodą nauczyciela, i staje się tylko — naśladowcą. Wielcy artyści byli własnymi uczniami. Tak i Lipiński, któremu zamiłowanie sztuki, geniusz, żelazna wytrwałość i pilność, dostarczały sił i ochoty do pokonania wszystkich trudności.

Młody Lipiński nie skończył jeszcze lat dziewięciu, kiedy ojciec jego, powodowany naleganiem przyjaciół, chciał z nim podróż muzykalną do znaczniejszych miast w ojczyznie i za granicą przedsięwziąść. Lecz szczęściem nasz młody wirtuoz na żaden sposób niechciał się dać nakłonić do popisywania się tak wcześnie: próżne były prośby i groźby; ze łzami w oczach rzucił się na szyję ojca; błagał, aby zaniechał swego zamiaru, nierobił go nieszczęśliwym, pozwolił mu się jeszcze kształcić, a podróże muzykalne, na późniéj odłożył. Uznał ojciec słuszność téj prośby i zaniechał swego zamiaru; a młody Lipiński z nową ochotą wziął się do kształcenia samego siebie. Dziś jeszcze, wspomina często o tém zdarzeniu, twierdząc, iż téj niechęci ku popisywaniu się winien poczęści dalsze swe w muzyce postępy. Zaiste, nic zgubniejszego dla młodych artystów, szczególnie muzycznych, jak zarychłe popisywanie się publiczne. Bardzo rzadko przytrafia się, aby ci, którzy dziećmi będąc, swą grą w zadumienie świat wprawiali, w młodzieńczym lub w dojrzalszym wieku, odpowiedzieli powziętym o sobie nadziejom. Nieustanne podróże, w których o ćwiczeniu i doskonaleniu się ani myśleć można, a szczególnie zarozumiałość o swym talencie, utwierdzona oklaskami często mało znającéj się publiczności, wyproszonemi pochwałami gazeciarzy, sprawiają, co już tysiączne przykłady dowiodły, iż tacy młodzi artyści nietylko niepostępują z czasem, ale nawet nie zostają na osiągnionym raz stopniu. Podobnieby się pewnie było i z Lipińskim stało, gdyby najpiękniejsze lata młodości, na samém dawaniu koncertów był spędził.

W jedenastym roku zaniechał Lipiński skrzypcy, upodobawszy sobie wiolonczellę: i na tym instrumencie w krótkim czasie wydoskonaliwszy się, publicznie z koncertami Romberga, Lamara i innych dawał się słyszeć. Lecz niedługo wrócił do swego dawnego instrumentu, na którym gra teraz daleko łatwiejszą mu się wydawała; i sam przyznaje, iż swą nieporównaną moc tonu, i pociąg smyczka, po części tylko pilnemu ćwiczeniu się na wiolonczelli zawdzięcza, i na niéj i dziś jeszcze czasem grywa. W roku 1810 przyjął Lipiński miejsce dyrektora muzyki przy teatrze Lwowskim; opuścił je jednak już w roku 1814, udając się do Wiednia, aby tam słyszeć Spohra, który w ówczas właśnie w tém mieście bawił. Oczywiście, iż gra tak wielkiego mistrza równie go zajęła, jak jego kompozycye. Powróciwszy do Lwowa, żył odtąd w zaciszu domowém, poświęcając cały swój czas ćwiczeniu się i nauce kontrapunktu, aż do roku 1817, w którym pierwszą swą podróż muzykalną do Włoch przedsięwziął: uczynił to po części tylko dla słyszenia Paganiniego, dającego się w ówczas właśnie słyszeć w znaczniejszych miastach swéj ojczyzny. Już był znaczną część Włoch zwiedził, dał był kilka koncertów w Lublanie, Weronie, Tryescie, Wenecyi t. d., a nigdzie dotychczas nieudało mu się spotkać z Paganinim. Nakoniec dowiaduje się, bawiąc w Piacenca, iż Paganini w Medyolanie daje koncert. Natychmiast tam się udaje i właśnie w sam czas przybywa. Pierwsze Allegro koncertu Paganiniego, przyjęte od publiczności z jak największem oklaskami, Lipińskiemu nie mogło się podobać; — nie tak doskonałe Adagio, tak znowu Lipińskiego w zachwycenie wprawiło, jak od reszty publiczności zimno przyjęte było. Lipiński jedyny „bravo“ zawołał. Zwróciło to uwagę otaczających go osób, i dowiadywano się o jego nazwisko; zaledwie dowiedziano się o tém, iż jest Lipińskim, i że jedynie w celu słyszenia ich ziomka do Medyolanu przybył; zaprowadzono go z okrzykami radości na teatr, i przedstawiono Paganiniemu, który wkrótce tak się zaprzyjaźnił z Lipińskim, iż kilka koncertów z nim razem dawał. Ich koncerta były nadzwyczaj licznie odwiedzane; każdy grał w swym sposobie, i każdy równe oklaski i pochwały odbierał. Życzeniem Paganiniego było, aby Lipiński z nim całe Włochy zwiedził: lecz ten nieprzystał na to, po części, iż nie chciał się

na długo od swoich oddalić, *) już też dla tego, iż sądził że jeszcze bardzo od tego stopnia doskonałości jest daleki, który osiągnąć sobie przedsięwziął, i na jakim dopiero dziś się znajduje. W końcu roku 1818, powrócił do swéj ojczyzny. Od czasu do czasu, przedsiębrał Lipiński małe podróże muzykalne w ojczyznie i za granicą; i tak, zwiedził w roku 1821 po raz pierwszy Kraków, Poznań, Lipsk, Berlin i Wrocław; w roku 1823, znaczniejsze miasta Litwy, Węgier i Rossyi, po drugi raz Poznań, a w roku 1828 po raz pierwszy Warszawę, która go i w roku 1829 oglądała. Zdarzyło się, iż właśnie w tym czasie i Paganini przybył do Warszawy. Pewien, dziś w Petersburgu, w ówczas w Warszawie żyjący artysta, z niechęci ku naszemu ziomkowi, starał się, aby ten, zamiaru swego dania w ówczas koncertu, do skutku nie przyprowadził; chcąc później, jak się sam wydał, głosić, iż Lipiński nie śmiał równo-cześnie z Paganinim występować. Udaje się więc do Paganiniego, wystawia mu, iż nie byłoby na jego korzyść, gdyby sławny i ulubiony ojczysty artysta, w tym samym czasie, co on dał się słyszeć, i radzi mu, aby się starał odwieść Lipińskiego od jego przedsięwzięcia. — Paganini usłuchał téj rady, i pisze do Lipińskiego, prosząc go, aby koncert na późniéj odłożył; lecz ten ani mógł, ani chciał, znając prawdziwy zamiar doradzców Paganiniego, żądaniu temu zadosyć uczynić. Paganini, rozgniewany tém, pisze po drugi raz do Lipińskiego: oświadcza mu, iż nierozsądnie sobie postąpi, jeżeli da koncert: albowiem on (Paganini) jest Achillesem skrzypków, niezwyciężonym i niemogącym być ranionym. Lipiński odpisał mu na to, aby sobie przypomniał, iż i Achilles przynajmniéj w piętę mógł być ranionym, i że właśnie ta rana śmiertelną dla niego była; dodając zarazem, iż pewno da koncert. — Uczynił to; a Warszawa już wtenczas wyrzekła, co dziś prawie cała Europa, iż: L i p i ń s k i n i e m a s o b i e r ó w n e g o.

Powróciwszy do Lwowa, żył Lipiński prywatnie, poświęcając cały swój czas ćwiczeniu się i komponowaniu, aż do roku 1834, w którym chcąc przed swą podróżą do Niemiec, Francyi i Anglii, ziomkom dać poznać swe olbrzymie postępy, zwiedził Warszawę i Poznań. W Warszawie, gdzie zawsze prawdziwy geniusz oceniany bywa, dał cztery koncerta, na które zwykle już dzień wprzód bilety rozebrano. W Poznaniu dwa. Na pierwszym dość licznie zebrana publiczność przyjęła go z jak największym zapałem, i można było sądzić, iż nie tylko drugi, ale i trzeci i czwarty równie przynajmniéj licznie odwiedzane będą. Lecz nie tak się stało. Na drugi koncert mało tylko kto przyszedł, a Lipiński pierwszy raz w życiu, przed próżnemi ławkami grał koncert.

*) P. Lipiński ożenił się dość młodo z bardzo przyjemną osobą, i jest dziś ojcem ośmiorga dzieci.

W roku 1835, w miesiącu Maju, wyjechał Lipiński w podróż do Niemiec, Francyi i Anglii. Pierwszém miastem, w którem dał się słyszeć, był Lipsk. Koncerta Lipińskiego w tém najmuzykalniejszém mieście Niemiec, były jak najliczniéj odwiedzane; a gra i kompozycye z największym zapałem przyjęte. Jak jego grę uwielbiano, przekona się Czytelnik z następującego wyjątku z dziennika Finka: Allgemeine musikalische Zeitung No. 26 z roku 1835.

„Jako wirtuoz" mówi Fink, „stoi Lipiński w saméj istocie, sobie tylko właściwym sposobem, tak wysoko, że gdybyśmy go najpierwszym artystą naszych czasów nazwali, jeszczebyśmy przez to nic nie powiedzieli. Tak ogólne zdanie nie dałoby jeszcze żadnego o grze jego wyobrażenia. Jakkolwiek trudne jest opisanie jego gry wzorowéj, nie możemy wszakże oprzeć się ponęcie, abyśmy o to nie pokusili. Lipiński jest wszechwładnym panem przedziwnego instrumentu, który tak niewolniczo jest mu posłuszny, że mu każdy rozkaz, każde skinienie, a nawet sam kaprys i swawolę w ton zamienia. Pod jego ręką utracają wszelkie, największe nawet trudności, zwykłą ostrość swoję, stają się tak miękkiemi, giętkiemi, powolnemi, że będąc pewien siebie, może niemi podług swego upodobania i bez żadnego igrać niebezpieczeństwa, podobny owemu starożytności bohaterowi, który z dzikiemi lwami w igraszkę się puszczał. Prócz tego, ma Lipiński to do siebie, że wszystkie i nieprzeliczone przemiany czarodziejskiego Proteusza muzyki, prędko poznać i pochwycić umie, i że mu ten bóg wieszczy zawsze najgłębsze tajniki uczucia objawia. W jego grze, wszystko jest tonem, w każdym tonie dusza, piękna, zdrowa, wyrazista, głębokiego uczucia. Pociąg smyczka jego jest śmiały, długi, szeroki potężny, a razem tak łagodny i tak mile-kwilący, iż się zdaje, jakby to był mdlejący podźwięk, z dala na skrzydełku wietrzyka niesiony. W jaki bądźkolwiek sposób po strunach pomknie, zawsze z nich w najrozliczniejszym rodzaju leją się tony pełne, okrągłe, jędrne, sprężyste; zawsze, chociazby w najprzeciwniejszych kresach, bądź gromu, bądź przyciszenia się, płyną z nich w najdziwniejszych odcieniach cudownéj harmonii kolory, któremi tak potężnie władnie, że to, co się już najmocniéjszém i najpieściwszém być zdawało, jeszcze bardziéj wzmocnić i upieścić umie, a to w tak błogi, a razem w tak niespodziany sposób, że z zachwycenia i zadziwu przyjść do siebie trudno.

Lipiński jest wszechwładnym panem wszelkiego przypadku; nic mu się takiego zdarzyć nie może, czegoby zaraz lotem błyskawicy w pożytek całości przenieść nie umiał. Jeżeli czasem tonowa potęga wedle silnéj przyrody swojéj, grzmiącym popędem dziko się potoczy, i tylko o jednę kommę granice piękności przewichrzy, już w téjże chwili, niepojętym sposobem w karb prawidłowości z większym jeszcze wdziękiem wraca i

przewichnięciem swojém nowy roznieca urok. Lipiński jednoczy najwyższy szczyt umnictwa z rzeczywistą prawdą. Jest to prawdziwy śpiew niemiecki z duchownéj siły i ukończonéj brawury zarodny; zawsze do serca przemawiający, nieprzesłodzony, ani przetężony, pełnoważny w sobie, dziką nawet namiętność w płomienistym roztopie uszlachetniający; co wszystko, przy największém urozmaiceniu, przez wrodzoną siłę w najzgodniejszą harmonią ujęte, najpiękniejszą całość stanowi. Pewni jesteśmy, że wszędzie, gdzie tylko prawdziwą zasługę poznać i zrozumieć umieją, największemi pochwałami uwieńczoną zostanie gra jego, która równie znawcę jak i sztuki niewiadomcę zachwyca, i jak ów strumień wzdętéj rzeki z sobą unosi. Większego wirtuoza w tak wysokim stylu nie znamy jeszcze."

Równy entuzyazm, jak w Lipsku, wzbudziła gra jego w Frankfurcie n. M. Dwa jego koncerta, dane w tém mieście, bardzo licznie zwiedzane były. — Wyjechawszy z Frankfurtu, niezatrzymywał się już w żadnem mieście w Niemczech, odkładając ich zwiedzanie do powrotu swego z Paryża. Chociaż P. Lipiński tylko w dwóch miastach Niemiec dał się słyszeć, jest już w całych prawie Niemczech uwielbiany.

W Paryżu, dokąd Lipiński na początku Listopada przybył, a gdzie dla wielkich artystów szczególnie z początku, niezliczone trudności i przykrości są do pokonania, długo nie mógł dać koncertu. Przyczyną najważniejszą była trudność otrzymania sali. Po trzechmiesieczném bawieniu, udało mu się nakoniec otrzymać małą salę w Hôtel de ville. Koncert pierwszy dany był 3go Marca. Cała sala była napełnioną artystami i znawcami, przyjmującymi każde solo koncertu i każdą waryacyą z grzmiącemi oklaskami. Pomimo tego gazety francuzkie, n. p. Journal des Débats tak zimno wspominają o koncercie i grze P. Lipińskiego, jak gdyby mówili o jakiém rozwiązaniu matematycznego zagadnienia. Sprawiedliwe pochwały (lecz też jeszcze zimne) oddaje grze doskonałéj P. Lipińskiego Gazette musicale.

Spodziewamy się, że jak już wszyscy prawie wielcy artyści i prawdziwi znawcy Paryża, Panu Lipińskiemu pierwszeństwo nad wszystkimi żyjącymi skrzypkami przyznali, tak i publiczność mniéj muzykalna, skoro tylko częściéj będzie P. Lipińskiego słyszała, całą wielkość jego gry i piękność jego doskonałych kompozycyi *) pojąć będzie w stanie.

Jako człowiek, Pan Lipiński jest równie uwielbienia godny: jest on w pożyciu, nadzwyczajnie przyjemny, szczery, otwarty, bezstronny i wzorem skromności. Oby szanowny mąż ten długo jeszcze wraz z panem Chopenem, był ozdobą naszą; obyśmy długo jeszcze nim się cieszyć i wraz z Gosławskim powtarzać mogli:

O jak miło, jak nam lubo
Przed zawistnym światem,
Dumo nasza, nasza chlubo
Nazwać ciebie bratem!

F. A. W.

*) Dotąd wydane kompozycye pana Lipińskiego są następujące. Dzieło 1: Dwa Polonezy z Orkiestrą. 2 Siciliano. 3 Capriccio. 4 Waryacye. 5 Waryacye z Orkiestrą. 6 trzy Polonezy. 7 Rondo z Orkiestrą 8 Pierwsze Trio. 9 Scena listoryczna (niewyszła dotąd). 10 Caprycye. 11 Waryacye na tema z Cenerentoli z Orkiestrą. 12 Drugie Trio. 13 Rondo a la polacca z orkiestrą. 14 Pierwszy koncert. 15 Waryacye na tema Belliniego. 16 Duet z opery Il crociato in Egitto. 17 Rondo. 18 Rondo koncertowe. 19 Przypomnienie morza baltyckiego. 20 Waryacye na tema z Cyrulika Sewilskiego. 21 Koncert militarny. (Dzieła od 14 do 21, wyjąwszy 19te są wszystkie z Orkiestrą).

Obraz burzy.

(przez A. M. *)

Na zachód, jeszcze ziemia słońcem ozłocona,
Świeciła się ponuro, żółtawo czerwona;
Już chmura roztaczając cienie na kształt sieci,
Wyławia resztki światła, a za słońcem leci,
Jak gdyby je pochwycić chciała przed zachodem.
Kilka wichrów raz po raz prześwinęło spodem,
Jeden za drugim lecą, siejąc krople dżdżyste,
Wielkie, jasne, okrągłe, jak grady ziarniste.

Nagle wichry zwarły się, porwały się w poły,
Porywają się, kręcą świszczącemi koły;
Krążą po stawach, mącą do dna wody w stawach,
Wpadli na łąki; świszczą po łożach i trawach,
Pryskają łóz gałęzie, lecą traw przekosy
Na wiatr, jako gaiściami wyrywane włosy,
Zmieszane z kędziorami snopów; wiatry wyją,
Upadają na rólę, tarzają się, ryją,
Rwą skiby, robią otwór wichrowi trzeciemu,
Który wydarł się z roli, jak słup czarno-ziemu,
Wznosi się, jak ruchoma piramida toczy,
Łbem grunt wierci, z nóg piasek sypie gwiazdom w oczy,
Co krok w szerz wydyma się, roztwiera ku górze,
I ogromną swą trąbą otrąbuje burzę,
Aż z całym tym chaosem wody i kurzawy,
Słomy, liscia, gałęzi, wydartéj murawy,
Wichry w las uderzyły, i po głębiach puszczy
Ryknęły jak niedźwiedzie.

A już deszcz wciąż pluszczy,
Jak z sita, w gęstych kroplach; w tém rykły pioruny,
Krople zlały się razem; to jak proste struny,
Długim warkoczem wiążą niebiosa do ziemi,
To jak z wiader buchają warstwami całemi,
Już zakryły się całkiem niebiosa i ziemia,
Noc je, z burzą od nocy ciemniejszą, zaciemia,
Czasem widnokrąg pęka od końca do końca,
I anioł burzy nakształt niezmiernego słońca,
Rozświeci twarz; i znowu okryty całunem
Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem.
Znowu wzmaga się burza, ulewa nawalna,
I ciemność gruba, gęsta, prawię dotykalna.
Znowu deszcz ciszéj szumi, grom na chwilę ucicie;
Znowu wzbudzi się, ryknie, i znów woda chluśnie.
Aż się uspokoiło wszystko: tylko drzewa
Szumią około domu, i szemrze ulewa.

*) Porównaj — z obrazem burzy p. Koźniana — umieszczonym w N. 33. Przyjaciela Ludu rok I.



Magnat Węgierski.

W N. 37. Przyjaciela Ludu b. r. daliśmy Czytelnikom rycinę wieśniaków węgierskich wraz z opisem ich charakteru, stopnia oświaty i t. d. i dziś przedstawiamy Magnata Węgierskiego, w stroju narodowym, używanym przez szlachtę przy wielkich uroczystościach.

Szlachta Węgierska od Słowaków ziemianami zwana, po wsiach osiadła, mieszka w ozdobnych domach; domy te noszą nazwisko kasztelów (z łacińskiego wyrazu zamek) i są prawie zawsze jednym kształtem budowane: fronton nic nie ma szczególnego w sobie; ze czterech tylko boków domu, wznoszą się małe wieżyczki, gotycyzm przypominające. Przy każdym takim kasztelu, znajduje się ogród obszerny i ozdobny, kwiatami rozmaitego gatunku zasadzony; Węgrzy bowiem, a szczególniéj kobiety kochają się w kwiatach: stoły zawsze niemi ozdobione. Gust Angielszczyzny, zakładania dzikich ogrodów, jest tu także w modzie, lubo nie zbywa na owocowych drzewach, z których śliwki szczególniéj pielęgnowane: winnice są zwykle oddzielne od ogrodów.

Znajomość kilku języków jest pomiędzy szlachtą Węgierską upowszechniona, najwięcéj mówią po łacinie. Ślachcic Węgierski gościnnym jest aż do zbytku, uprzejmy, z szczerém sercem przyjmuje w swoim domu obcego. Kogo z cudzoziemców raz uzna za godnego swéj przyjaźni i szacunku, tych nie zmienia nigdy; w przeciwnym razie, pogardy swojéj nie umie polityczną grzecznością pokrywać.

Ubiór narodowy podobny do stroju znanych huzarów. Na zgromadzenia obywatelskie (congregatio), na zabawy publiczne, w dnie uroczyste, na powitanie Cesarza, Palatyna lub znakomitych osób, szlachta Węgierska występuje zawsze w dawnym stroju. Ubiór ten bywa dwojaki: pierwszy składa się z czapki wysokiéj, sobolowéj lub innego futra, z pośrodka któréj spada worek axamitny naprzód, z piórem i bogatą kitą; z dwóch dołmanów, nakształt naszych kurtek, bogato wyszywanych srebrem lub złotem; z tych jeden na rękawy wdziany, drugi z lewego ramienia spada; chustka na szyi grubo zawiązana, końce

jéj frandzlami ozdobne. Spodnie obcisłe w bóty zachodzące, równie bogato, jak dolmany wyszywane sznurkami w rozmaite wzory: do tego bóty kolorowe, w kroju dawnym, od wierzchu szeroką frandzlą obwiedzione, z dwiema ostrogami. Szabla bogato osadzona. Kobiecy strój prawdziwie madziarski. Drugi rodzaj ubioru w tym się tylko różni, że zamiast dołmanów, używają czamar, równie bogato wyszywanych, reszta składa się z tych samych części co i poprzedni; ten strój Węgrzy sami uważają za najdawniejszy.

Filozofia Angielska i Lampy bezpieczeństwa.

Filozofia mająca za przedmiot rozwiązanie najważniejszych zagadnień, na które zastanawiający się człowiek nad sobą i nad tém, co go otacza, natrafia, była od najdawniejszych czasów zatrudnieniem umysłowém niewielkiéj liczby mężów, którzy się nad innych rozumem i nauką wznieśli. Bóg, świat i człowiek, i ich wzajemne do siebie stósunki, oto są owe długowieczne, nieznane, w każdym wieku, w każdym narodzie, rozmaicie rozwięzywane zagadnienia, nigdy zupełnie niedocieczone, zostawiające następnym jeszcze pokoleniom obszerne pole do spekulacyjnych badań i nowych coraz systematów, jakie rozwinięte początkowo przez filozofów greckich, zajmowały potem ducha umysłowego średnich wieków, w najnowszych nareście i naszych czasach zagnieździły się w Niemczech. Anglicy pierwsi już w końcu 16go wieku opuścili obszar spekulacyi, nie dający żadnego punktu oparcia, a wszystkie siły umysłowe obróciwszy ku praktycznéj stronie, nazwisko filozofii tym nadali naukom, które oparte na doświadczeniu, wyśledzając siły natury i jéj prawa, takowe stósując i obracając do nowych pomysłów i wynalazków, bezpośrednio wpływają na korzyść i użytek ogólny. Ztądto Anglicy pod filozofią rozumieją tylko nauki przyrodzone i polityczne, jak fizykę, chemią, ekonomią polityczną; a termometra, barometra i t. p. nazywają instrumentami filozoficznemi. Sarkają na to znizenie filozofii z metafizycznéj wysokości na niski poziom czystéj praktyki spekulacyjni badacze: alić Anglicy tą tylko drogą doszli do tego szczytu przemysłu i narodowéj zamożności, na jakim ich dziś spostrzegamy. Droga ta postępowania wolnym i pewnym krokiem z jednych doświadczeń do drugich, robienia z nich wniosków koniecznych, hypotez (domysłów), wskazaną została najpierw przez Bakona kanclerza państwa za królowéj Elżbiety, i razem filozofa w roku 1560 roku. Uczony Michał Wiszniewski wyłożył w ojczystym języku jego Metodę tłumaczenia natury, i prawdziwą kształcącéj się młodzi uczynił przysługę, chroniąc ją od uludy metafizyki, zachwycającéj ogromem i głębokością myśli i obrazów, ale nie zbogacającéj rozumu wiadomościami, i ztąd istotnych nie przynoszącéj korzyści. Zwracając uwagę na to ważne w literaturze naszéj dziełko, podajemy tu z niego Czytelnikom wyjątek, o wynalezieniu lampy bezpieczeństwa przez Dawy, wyświecający najdokładniéj, jak przez szereg poczynionych doświadczeń, i robionych z nich wniosków, przemyślny wynalazca doszedł do celu, i obeznawający nas zarazem z ważnością i korzyściami samego wynalazku. „Będąc roku 1822 w kopalni kamiennych węgli w Wallsend, niedaleko Newcastle, poznałem naocznie dziwną tego wynalazku użyteczność. We wszystkich kopalniach węgli wydobywają się w czasie ich łupania ze szczelin wyziewy ogniste, podobne do tych, które się palą w Pietra-Mala, niedaleko Bononii. Te wyziewy, będące gazem wodorodno węglistym, zmięszane z powietrzem atmosferyczném, zapalając się od kaganka, wszystkich robotników zabijają lub kaleczą. Niepomogły robione dla przeciągu okna, a straszliwe przypadki tém częściéj zdarzały się, im głębiéj się zapuszczano. To zatrwożyło wszystkich właścicieli kopalni węgielnych; lękano się o utratę ogromnych z kopalni dochodów. Ten gaz wodorodno węglisty, mógł znacznie umniejszyć zamożność i potęgę Anglii, i większą temu krajowi zadać klęskę, niż systemat kontynentalny Napoleona; bo węgle kamienne utrzymują w ruchu tysiące machin i statków parowych, są dla Anglii obfitszém źródłem bogactw, niż kopalnie złota w Potozy, lub Dyamenty dla Brazylii. Ta więc okoliczność zwróciła uwagę wszystkich Technologów i Chemików. Ponieważ górnicy w kopalni bez światła obejść się niemogą, a wyziewy gazu wodorodno węglistego zmięszane z powietrzem, od płomieni zapalają się, więc potrzeba było wynaleść taką do latarni przykrywę, któraby i światło dla robotników i powietrze, bez którego knot palić się niemoże, przepuszczała, a jednak płomieniowi wymykać się niedowoliła. Nie koniec na tém, dobrzeby było, aby latarnia o przytomności gazu palnego ostrzegać, i gaz ten tak wielkiém grożący niebezpieczeństwem, pożerać mogła; co zaiste każdemu niepodobném do wykonania się wyda. Sławny Chemik Dawy, niezrażony trudnościami tego zagadnienia, zwiedziwszy kopalnie północnéj Anglii, przekonał się: iż te wyziewy są gazem wodorodno węglistym zmięszanym z powietrzem, i odkrył, iż ten gaz tylko w wysokiéj temperaturze zapala się. Wiadomo już było, iż metal do białości rozpalony ma mniejszą temperaturę niż płomień, a zatym, że drót nawet rozpalony, lecz użyty w pewnéj ilości i należytéj cienkości, może, odbierając ciepłik od płomienia, zniżyć temperaturę. Ta własność wzniecila w P. Dawy nadzieję, iż może uda się wynaleść taką do latarni nakrywę, któraby płomień palącego się wewnątrz gazu w pewnych granicach utrzymać zdołała. Robił więc najprzód doświadczenie z rurkami, z blachą podziurawioną, a nakoniec z drótem. Tymczasem,

dochodził palności tego gazu, zmięszanego z powietrzem w rozmaitych proporcyach; pokazało się z jego rozlicznych doświadczeń, iż gaz ten w równych częściach z powietrzem zmięszany, zapala się od świecy, lecz bez detonacyi, że mięszanina najmocniejsza zawiera 7 lub 8 części powietrza, na jedną część gazu. Wszelako huk, wydany od 50 cali sześciennych téj mięszaniny, był mniejszy od huku 50 cali sześciennych mięszaniny, dwie części powietrza, a jedną część wodorodu zawierającéj. Wypadło potém oznaczyć stopień ciepła, jakiego potrzeba do zapalenia tego gazu, zmięszanego z powietrzem. Pokazało doświadczenie, iż zwyczajna iskra elektryczna, niezapala 5 części powietrza, a jedną gazu zapala. Mocne iskry z butelki lejdeńskiéj równie łatwo tę mięszaninę zapalają jak świeca. Dobry węgiel drzewny, rozogniony do największéj białości, żadnéj mięszaniny tego gazu z powietrzem niezapala; drót żelazny do największéj białości rozpalony, nieczyni skutku, lecz palący się płomieniem zapala. Tym sposobem poznał P. Dawy, iż co do palności, te wyziewy od wszystkich innych gazów się różnią. Następnie P. Dawy śledził, jaką wyziewy te mają sprężystość, i starał się dociec, przez jakie otwory ta mięszanina może przesyłać płomień do innego gazu palnego. Doświadczenia pokazały: że w czasie najmocniejszego palenia się, objętość tego gazu niepowiększa się w większym stosunku, jak 3 do 2. Daléj znalazł, iż kiedy płomień przechodzi z jednéj mięszaniny do drugiéj, wązkość rurki, przez którą ma przechodzić, wielką do zapalenia stawia przeszkodę, tak dalece, że mięszanina jednéj części gazu z dystylacyi węgli otrzymanego, i 8 części powietrza, w rurce szklannéj mającéj $\frac{1}{8}$ cala średnicy, zapalić się niechciała, chociaż ta mięszanina zawierająca cokolwiek gazu olejnego, daleko jest palniejszą od wyziewów kopalni węglanych. Podobnież tę mięszaninę zamkniętą w naczyniu z dwoma otworami, (z których jeden komunikujący z powietrzem miał pół średnicy, drugi z pęcherzem napełnionym mieszaniną palną, którego otwór miał średniéj $\frac{1}{7}$ cala) zapaliwszy, płomień wychodził na powietrze, a mięszaniny w pęcherzu zawartej niezapalił. Tu więc z pewnością odkryta się granica szerokości otworu, przez który płomień już do drugiéj mięszaniny przechodzić nie może; a to znowu naprowadziło P. Dawy na wymyślenie takiéj nakrywy, którąby nieprzerywając komunikacyi między mięszaninami, zapalić się im niedozwoliła. Tak więc wysoka temperatura, któréj do zapalenia tych wyziewów potrzeba, podała sposób zamknięcia płomieni w pewnych granicach, choć ciało palne w około znajduje się, i cząstki jego wszędzie się z sobą stykają. Daléj pokazało doświadczenie, iż płomień palącego się gazu przez sito dróciane przejść niemoże, jeśli otwory niewiększe są od $\frac{1}{20}$ cala w średnicy. Z takiéj więc gazy drócianéj zrobiono walce, którym lampa szczelnie za pomocą śruby przykrywa się. Jeżeli w kopalni nieco silny przeciąg takich wyziewów znajduje się, cały walec wypełnia się zielonawo niebieskim płomieniem. Tak więc lampa ta pożera gaz wodorodny węglisty, a zatém nie tylko od gwałtownego zapalenia się broni, nie tylko ostrzega o jego bytności, ale go nawet pochłania. Natura tu własnym orężem pokonaną została. Ta lampa jest jedną z najważniejszych przysług, jaką dotąd nauki rękodzielniom wyrządzić zdołały. Tego dobrodziejstwa używają ludzie, którzy zwykle najmniéj z nauk korzystają; jakoż górnicy w Newcastle zowią tę latarnię darem niebios. W tym wynalazku niemasz najmniejszéj okoliczności, któraby była ślepego trafu owocem. Dawy idąc pasmem pracowitych, trudnych, a często niebezpiecznych doświadczeń, odkrył nakoniec siatkę drócianą, która płomień wstrzymuje. Wszystko tu jest dziełem rozumu, dobrą wspartego metodą. Wypadek tych ważnych doświadczeń, każdego w zadziwienie wprawia. Najgwałtowniejszą i nieprzepartą w swoich działaniach siłę, wstrzymać skutecznie zaporą niewidoczną i nietykalną; siłę która w straszliwych skutkach grzmoty i trzęsienia ziemi naśladuje, w siatce dróciannéj zamknąć, są to zaiste cuda wzniecające podziwienie, od którego uczony równie, jak prostak powściągnąć się niemoże. A jeśli wspomniemy, że ten wynalazek tylu ludziom życie ochrania, że póty pożytecznym być nieprzestanie, póki ludzie węgli z wnętrzności ziemskich dobywać będą, śmiało powiedzieć można, iż nigdy jeszcze sama nauka, bez ślepego trafu, tak wielkiego i użytecznego nie zrobiła wynalazku. L.

Wyimki z Pamiętników Paska.
Rok 1658.
Wyprawa do Danii.

(Dalszy ciąg.)

Mówił potém z nami akt skruchy i wszystkie modlitwy, to jest te, co się odprawiają z owymi, którzy już pod miecz idą. Przystąpiwszy do niego bliżéj, rzekłem: „i ja też proszę mój dobrodzieju o błogosławieństwo.“ Ścisnął mię z konia za głowę i błogosławił, a zdjąwszy z siebie relikwie, włożył na mnie, mówiąc: „idźże więc śmiało, nie bój się.“ Xiądz Dąbrowski, także Jezuita, jeździł do innych półków; ten prawie więcéj płacze niżeli mówi; bo taki miał zwyczaj, choć był niezły kaznodzieja, że jak co począł mówić, rozpłakał się i nie skończył kazania, a narobił śmiechu.

Tymczasem powraca trębacz do Szwedów wysłany, częstując nas ich słowami: „Jeżeli chcecie, czyńcie z nami, co wam fantazya kawalerska każe; my także, jakeśmy się was w Polsce nie bali, tém bardziéj i tu się nie boimy.“ Zaraz potém zaczęli strzelać; bo nas lekce ważyli

widząc, że działka i jednego nie mamy, piechoty tylko jeden półk, a Piaseczyńskiego cztery szwadrony i Semonowa ludzi trzysta, ale bardzo dobrych. Na konnych mówili oni, że to ludzie do szturmów nie zwyczajni, i pójdą w rozsypkę jak raz ognia dadzą, co nam sami więźniowie powiadali. Już każdy z pachołków trzyma ów snop słomy przed sobą, towarzystwo zaś w pancerzach tylko, niektórzy też z bronią palną; a w tém przyjeżdża Wojewoda i mówi: „Niechże was Bóg ma w swojéj opiece i imię jego święte. Ruszajcież, a jak przez fossę przeprawicie się, skoczcie pod mury we wszystkim biegu, bo już wam pod murami nie mogą tak szkodzić." Ze zaś tedy duchowni kazali to ofiarować na pamiątkę jutrzni, bo to samém było świtaniem w dzień narodzenia pańskiego, zacząłem tedy z tymi, co w mojéj komendzie byli: „Już pochwalmy króla tego." Wolski także Paweł, który potém był starostą lityńskim, towarzysz natenczas królewskiéj pancernéj chorągwi, co także swojéj chorągwi czeladź przywodził, kazał toż samo śpiewać. Tak Bóg dał, że z pod tych chorągwi i jedna dusza nie zginęła, a u innych, co nie śpiewali, powytykano dziesięcinę. Skorośmy tedy do fossy przyszli, okrutnie poczęły parzyć owe snopy słomy. Już się czeladzi trzymać uprzykrzyło i poczęli je ciskać w fossę; jaki taki obaczywszy pierwszych, także to czynił, i wyrównali owę fossę tak, że już daleko lepiéj było przeprawiać się tym, co na ostatku szli, niżeli nam, cośmy szli wprzodzie z półku królewskiego; bo źle było z owemi snopami drapać się do góry po śniegu na wał; kto jednak swój wyniósł, pomagał, i znajdował w nich kulę, co i do połowy nieprzewierciała. Wychodząc tedy z fossy, kazałem ja swoim wołać: „Jezus, Marya!" lubo insi wołali: „hu, hu, hu!" bom się spodziewał że mi więcéj pomoże Jezus, niżeli ten jakiś pan hu. Skoczyliśmy tedy we wszystkim biegu pod mury, a tu jaki taki stęknie, jaki taki o ziemię się uderzy. Dostało mi się tedy z moimi pachołkami, że przy srogim filarze, albo raczéj narożniku, było jakieś okno, w którém srodze gruba żelazna krata; zaraz tedy przed ową kratą kazałem rąbać na odmianę; ci się zmordują, a ci wezmą. Było zaś na drugiém piętrze nad nami także takie okno, z takąż kratą; z tamtego okna strzelano do nas, ale tylko z pistoletów, bo z innéj strzelby nie mógł strzelać do nas i wysadzać się nijak, dla owéj kraty; chyba tam do dalszych mógł strzelać. Jam też kazał do góry nagotować 15 bandoletów, i jak który rękę wytknie, zaraz dać ognia. I tak się stało: aż oto i pistolet na ziemię upadł. Nie śmieli tedy już więcéj rąk pokazować, ale tylko kamienie wypychali na nas przez owę kratę; ale już się tego przecie snadniéj można było uchronić, niżeli kuli. Tymczasem jak rąbią tak robią mur, i naokolusieńko nie wiedzieć, gdzieby Szwedom ręce wrazić.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Piosnki gminne.

Sikorecka mały ptasek,
Odjechał nas Matyasek:
Jak odjechał, tak przyjedzie,
Jak nas kochał, tak i będzie.

Wszystkie konie dobre, a najlepszy siwy,
Przepłynął Dunajec, nie zamaczał grzywy.

Siwy konik, siwy, zielona kulbaka,
Zajechałem do niéj, niechce mnie sobaka.

Ztamtéj strony Wisły kąpała się wrona,
Kiedyś mnie niechciała, siedzże sobie doma.

Wołki moje.

Andante e pastorale

(Muzyka p. J. D.......)

mf. Wołki moje wołki moje za lasem a mamci ja fujareczkę za pasem
Jak ja na méj fujareczce zagraję usłyszy mnie moje dziewcze o staje
pow. forte